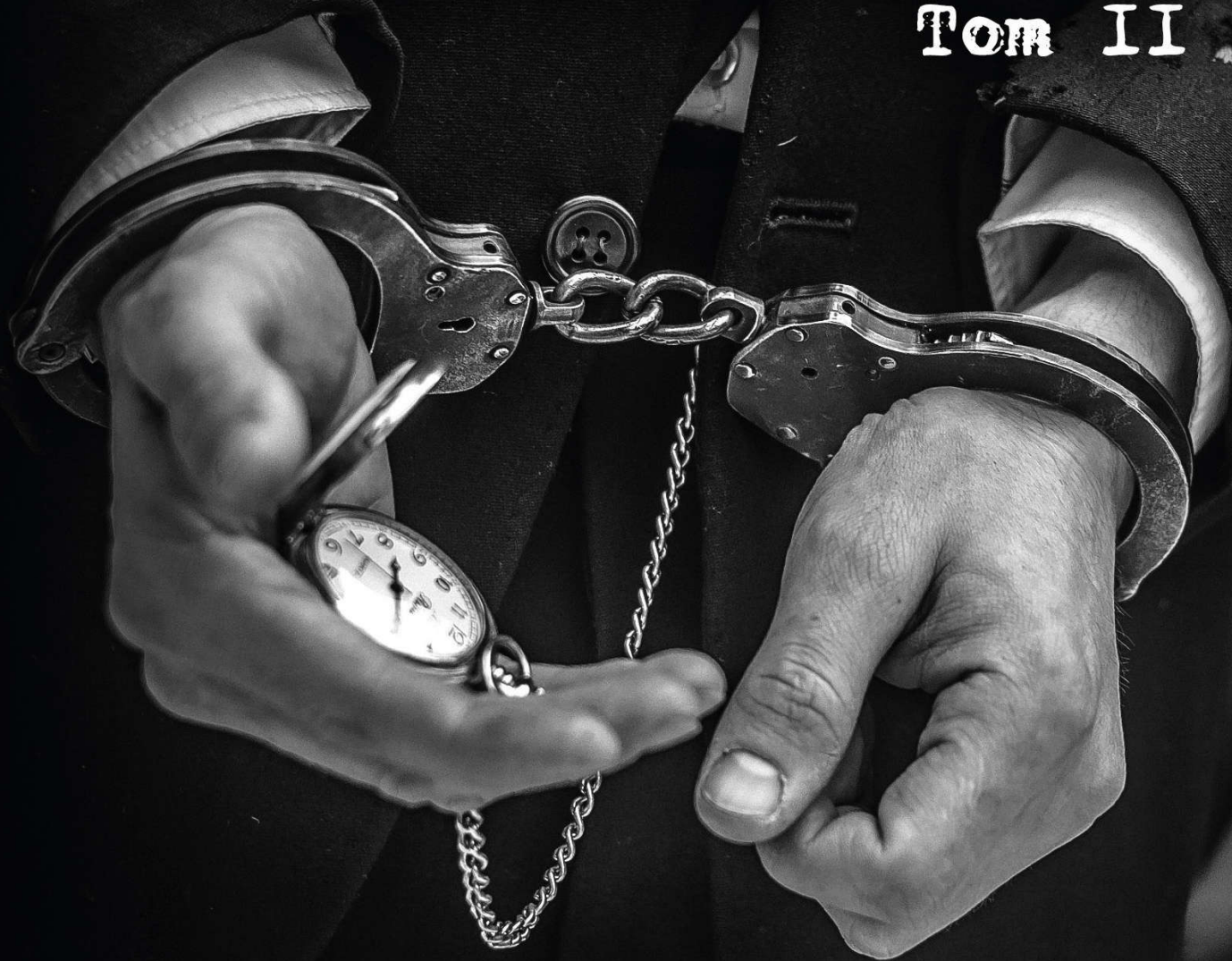


Robert
Gałka

Urabia

TOM II



 Silver Lemon

Robert Gałka

HRABIA

PROJEKT OKŁADKI:

Dariusz Herbowski

KOREKTA I REDAKCJA:

Piotr Rodak

Jacek Sojan

KOWERSJA DO WERSJI E-BOOK:

Marcin „Kamyk” Kamiński (dobre.media)

ISBN:

978-83-951263-8-3

WYDAWCA:

KAGO

KONTAKT:

kago@skazaniec.com

Copyright © 2019 Robert Gałka & KAGO

www.skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2019

Źonie dedykuję.
Amor ad mortem Bozenko.

tom II

Amor ad mortem

I.

Dorożka w pełnym pędzie pokonała zakręt. Z przerażeniem spostrzegłem, jak kute obręcze kół skrzeswały snop iskier, obijając się o granitowy krawężnik. Na szczęście my pędziliśmy środkiem ulicy. Drynda jadąca przed nami zaczęła powoli tracić przewagę. Na koźle stał carski oficer w galowym mundurze. W szalonym uśmiechu wyszczerzył do mnie zęby i zaciął konie lejcami. W drugiej ręce dzierżył biczysko, raz po raz strzelając z niego ponad głowami spienionych chabet. Siedzący obok dorożkarz kurczowo trzymał się niewielkiej poręczy zabezpieczającej koziół. Z trwogą wpatrywał się w lekko dymiącą piastę przedniego koła. Przerażony bezgłośnie poruszał ustami, zdawało się, że szepcze modlitwy.

– W pieriod, za pabiedu! – ryknął oficer.

Krzyk rozległ się echem po opustoszałych ulicach Warszawy. Stojący na rogu Mazowieckiej policmajster, widząc nadjeżdżających żołnierzy, cofnął się przezornie w cień bramy.

Byliśmy w tyle o długość końskiego łba. Zaprzęg, z którym ścigaliśmy się przez uśpione ulice miasta, wyraźnie zwalniał. Jako pierwsi wpadliśmy na Plac Saski. Gregor Aleksandrowicz gwałtownie ściągnął lejce. Rozpędzone konie szarpnęły łbami i prawie przysiadły na zadach, hamując. Oficer zgrabnie zeskoczył z kozła i wyjął ze stojącego obok mnie kosza butlę z odrutowanym korkiem.

Rozbawione towarzystwo wysypało się z dorożek. Wśród wzajemnego poklepywania po plecach i gromkiego śmiechu odkorkowali kilka butelek szampana.

– Diabli nadali tego cholernego Rodenkę – mruknąłem w stronę Leona, który siedział rozparty na tylnym siedzeniu dorożki. – Szczęście boskie, że te taradajki nie rozpadły się na kocich łbach.

– Nie drefnij Heniu! – roześmiał się rozbawiony Tabakiera – Grzesio powozi jak sam czort! Galanta jazda, całą gorzałkę ze mnie wywiało.

Gregor Aleksandrowicz Rodenko stał w lekkim rozkroku i pił szampana prosto z butelki. Na jego ramionach pyszniły się złote, kapitańskie epolety.

Nowo mianowany kapitan od ponad tygodnia opijał awans. W zamian za to, że pomogliśmy mu w pociągu, zabrał nas z hotelu, w którym stanęliśmy na, jak to powiedział, „baciarkę”. Baciarka owa okazała się szaloną rajzą po najlepszych lokalach Warszawy.

Leon wygramolił się z kosza pojazdu i podszedł do jednego z dorożkarzy.

– Sałata – szepnął w ucho woźnicy – Mikry dalej interes kręci na Smoczej?

Woźnica spojrzał krzywo na Tabakierę, splunął pod nogi i warknął:

– Nie twój psie interes, gdzie pan Mikry geszefta robi.

Leon chwycił go za poły płaszcza i przycisnął do budy pojazdu. W miarę jak zaciskał pięści, jego przeciwnik czerwieniał i coraz szerzej otwierał oczy.

– Pies to ci mordę lizał – powiedział Tabakiera ze złym uśmiechem. – Tak ze swoją kobyłą możesz gadać dzieliworku. Teraz jak na spowiedzi, gadaj przedzikiem, póki

kacapy szampańskoje trąbią!

Puścił kołnierza sałaciarza. Dorożkarz ze świstem złapał powietrze, zrobił krok w tył i wsunął rękę do kieszeni płaszcza.

– Tego szukasz? – spytał Leon, pokazując mu mosiężny kastet.

Mężczyzna spojrzał na Leona, odkasznął i wychrypiął przez zmaltretowane gardło:

– Było mówić, żeście z chewry. Szułały mnie zmyliły. Mikry na Smoczej działa dalej. Na każdym wynklu nygusy wam powiedzą gdzie go znaleźć.

Leon się uśmiechnął.

– Było tak od razu prawić. Grdykę miałbyś całą i sarmak w karmanie.

Wozak zdziwionym wzrokiem spojrzał na Tabakierę, który w drugiej ręce trzymał jego portfel. Nim zdążył się odezwać, ruszyli w naszą stronę, przekrzykując się nawzajem oficerowie.

– Do madame Sadkowskiej! Do paryżanki! Kapitan Rodenko wygrał wyścig i awans musi oblać! – krzyknął oficer zdobny w imponujące bokobrody.

Spojrzałem zdumiony na Leona.

– Co to za paryżanka? Knajpa jakaś? Dość mam wody na dzisiejszy dzień.

Tabakiera uśmiechnął się z przekąsem i klepnął mnie w plecy.

– To lupanar, na królowe nocy się żołdacy szykują. Można się z nimi wybrać, ale to miejsce wytworne. Nie na każdą kieszeń. Madame wszem i wobec rozpowiada, że Iwan Grigoriewicz Podgrodnikow u niej balował. Zjeść można przednio i pochędożyć. Jak nie masz ochoty na takie karesy, panienki u madame są na poziomie. Porozmawiasz o literaturze, operze i wielu innych rzeczach. Nie będziesz się nudził. Gwarantuję!

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową ze zrezygnowaniem. Panienki w tej chwili w ogóle mnie nie interesowały. Byłem u kresu sił. Piekący ból w rozciętej, ledwo zagojonej dłoni nie zachęcał do zabaw. Jedyne, czego pragnąłem, to położyć się do łóżka i odespać wydarzenia ostatnich dni. Ostrowiec, draka w pociągu oraz szalona rajza po knajpach porządnie dały mi się we znaki. Nużyło mnie pasmo zabaw, pijatyk i wizyt w coraz to innych restauracjach. Od kilku dni prawie nie rozstawaliśmy się z naszym nowym przyjacielem. Po tym, jak blatny połatał mu sumkę, Rodenko odwiózł nas do hotelu. Zapowiedział się na wieczór, by podziękować nam za uratowanie mu skóry. Od tej pory goniłem resztką sił. Dni i noce zwały się w jedno, wielkie pasmo pijaństwa i hulanki. Leon za to zdawał się być niespożyty. Odkąd wysiadł z pociągu odmłodził, zostawił za sobą wszelkie troski. Zawsze opanowany i stateczny, teraz bawił się jakby jutro miał być potop.

Podszedł do nas Rodenko, uśmiechnięty, z roziskrzonymi oczami objął nas i uściskał serdecznie.

– Gdyby nie wy – powiedział – kto wie, co by się teraz działo! Ten remiecha dobrze się spisał. Ani śladu, że sumka szyta była! Szczęście, że was w tym pociągu spotkałem. Kto wie, czy nie Sybir by mnie czekał, gdyby tamten wor bumagi ukradł! A tu patrzcie! Kapitan Gregor Aleksandrowicz Rodenko! Do końca życia będę wam wdzięczny. Teraz bawmy się, noc jeszcze młoda!

– Grzesiu – parsknął ubawiony Tabakiera. – Noc się skończyła, zaraz ciecie na ulice wyjdą!

– Czort z tym! Życie za krótkie, żeby spać! – ryknął Gregor. – Dorożka! Na

Rycerską, do madame!

Dryndy zatrzymały się przy Wąskim Dunaju, dalej poszliśmy pieszo. Na Rycerskiej nie mieściły się nasze pojazdy.

Uchyliły się drzwi w niepozornej, jednopiętrowej kamienicy. Drab, który nas wpuszczał, odprowadzał spojrzeniem każdego wchodzącego. Nieco dłużej, marszcząc brwi, przyglądał się Leonowi. Weszliśmy do dusznego, oświetlonego dyskretnymi lampami pomieszczenia.

Tabakiera rozejrzał się badawczo. Taksując wzrokiem schodzącą w towarzystwie dziewcząt madame, powiedział:

– Zamtuz jak zamtuz, widywało się lepsze. Mus puścić troszkę forsy panów oficerów!

Na widok dziewczyn rozbawione towarzystwo przycichło. Sadkowska stanęła pierwsza, za nią w półkołu ustawiły się podopieczne. Rozłożyła ręce na boki, schylając się w dwornym ukłonie, i zaszczębiotała:

– Dla panów oficerów wszystko co najlepsze, miłej zabawy życzę. Bar i gabinety do waszych usług!

– Jaki dzisiaj ruch? – spytał Rodenko.

Madame wygięła umalowane usta w podkówkę.

– Marnie panie generale. Ledwie jeden pokój zajęty. Dziewczynki z nudów przysypiały. Kataryniarz w Wielkim Poście zarabia więcej niż my dzisiaj.

– Post się skończył! – ryknął żołdat z bokobrodami. – Jobać chacz!

Sadkowska uśmiechnęła się promiennie.

– Za imperiały kupisz wszystko! – powiedziała i klasnęła w dłonie.

Stojące za nią dziewczęta rozbiegły się w kierunku nowo przybyłych. Wnet każdy mężczyzna otoczony był wianuszkami roześmianych panien.

Stojąca obok aksamitka poruszyła trzymanym w dłoni wachlarzem. Poczujęm delikatny zapach perfum pomieszany z czymś nieuchwytnym, pięknym. Odwróciłem głowę w jej stronę. Niewysoka, zgrabna dziewczyna długie, kasztanowe włosy upięte miała w misterny, lekko spleciony warkocz. Spojrzenie jej zielonych, głębokich oczu zdawało się przepalać mnie na wskroś. Przejechała językiem po pełnych karminowych ustach i lekko zmarszczyła zadarty nos.

– Umrzesz zaraz... – szepnęła.

– Co?! – wychrypiąłem przez zaschnięte gardło.

– Zaczynj oddychać, powietrze złap, bo umrzesz! – roześmiała się.

Nie wiedziałem co odrzec, bladłem i czerwieniałem na przemian.

Cholera – pomyślałem w panice – ja się kiedyś wykończę przez takie jaselka!

– Pięknie pachniesz, dech zapiera – wykrztusiłem, rozpaczliwie zdając sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało.

Dziewczyna parsknęła śmiechem. Delikatnie pomachała złożonym wachlarzem przed moim nosem.

– To francuska perfuma – powiedziała aksamitym tonem. – Coeur de Jeannette.

Znienacka ścisnęła mi łokieć i wskazała głową na szulana z imponującymi faworytami.

– Weź gabinet, proszę. Nie chcę iść z tą małpą włochatą – szepnęła z odrazą w głosie.

Nie bardzo wiedząc, co czynię, władcym głosem krzyknąłem do stojącej obok mnie Sadkowskiej:

– Gabinet!

Miałem wrażenie, że w panice wrzasnąłem o wiele głośniejsze, niż wymagała tego sytuacja i dobre wychowanie. Madame lekko uniosła brwi i zdziwiona spojrzała na mnie. Na jej twarzy błyskawicznie pojawił się profesjonalny uśmiech. Wzięła nas pod ręce i skierowała w głąb lokalu. Idąc pomiędzy nami, szepnęła mi do ucha:

– Masz gust młody człowieku. To moja gwiazdka na firmamencie.

Rozbawione towarzystwo rozstało się przed nami, gdy bajzelmama prowadziła nas do pokoju.

Gdy zostaliśmy sami, dziewczyna rzuciła się na łóżko i zamachała nogami. Zgrabne pantofelki furgnęły aż pod sufit. Odetchnęła głęboko i powiedziała z ulgą:

– Nareszcie, wolałabym po tłuczonym szkle chodzić niż w tym cholerstwie. Masz jakieś imię?

– Heniek.

– Zawsze jesteś taki nieśmiały?

Nie czekając na moją odpowiedź, błysnęła zębami w uśmiechu.

– Zjesz coś, czy będziesz tak stał? Kawior i szampanskoje madame ma przednie.

– Zamiast kawioru to ja wolę kaszanekę. Albo tatarski befsztyk – palnąłem. – Tamto dla hrabiów dobre.

Moja towarzyszka przez chwilę patrzyła na mnie zdumionym wzrokiem. W panice wyciągnąłem przed siebie ręce i przecząco pokręciłem głową. Dziewczyna wybuchła głośnym śmiechem.

– Jak z wędzooooonką... I na cybuliiii! – wydukała, krztusząc się. – To ob-obstaluj dwie porcje! I haber-haberbuszaaa!

Minęła dłuższa chwila, zanim aksamitka opanowała atak śmiechu. Pociągnęła za umieszczoną przy łóżku grubą, haftowaną w różę szarfę. Uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzał drab, który nas wcześniej wpuszczał do lokalu.

– Zbyniu, dwie kiszki na cebuli, wędzonki od serca i piwa do podlania! A żwawo, bo w pokoju duszno! – zaordynowała.

Stała przede mną i lekko zadzierając głowę, powiedziała:

– Mam na imię Sabina. Sam nigdy się nie domyślisz, by spytać. A teraz pomóż mi to zdjąć.

Odwróciła się do mnie plecami. Drżącą ręką chwyciłem tasiemki sukni. Niezdarnie szarpnąłem i zaciągnąłem supeł. Nie mogłem poradzić sobie z prostym węzłem!

– Chcesz jakąś kosę, czy Sadkowską ci do pomocy zawołać? – prychnęła kpiąco.

Zakląłem pod nosem i szarpnąłem za tasiemki. Przez chwilę stawiały opór, wrzynając mi się w palce. Puściły w chwili, gdy naprawdę zaczynałem rozważać użycie noża. Kiecka z cichym szelestem zsunęła się na podłogę. Sabina stała przede mną w delikatnym koronkowym gorsecie. Odwróciła się płynnie i spojrzała mi głęboko w oczy. Zmysłowo przesunęła językiem po karminowych wargach. Na jej ustach pojawił się kuszący uśmiech.

Zamarłem z wrażenia, nim zdążyłem jednak cokolwiek powiedzieć, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

– Zjedzmy najpierw – powiedziała i wskazała zapraszająco na foteliki stojące obok

niewielkiego stołu.

Siedliśmy do posiłku. Czy to na wskutek swojskich zapachów przypominających mi rodzinny Staszów, czy dzięki zbawiennemu działaniu piwa rozluźniłem się nieco. Rozmawialiśmy o rzeczach błahych, opowiadała trochę o swojej rodzinie. Śmiałem się, słuchając historii o ciotkach i dziadkach. Zapatrzony w jej oczy opowiadałem o sobie. Z każdym łykiem wypitego habermusza, mój wzrok kierował się niżej... Coraz śmielej zerkałem w koronkowy dekolt. Widząc to, Sabina wstała i odsunęła stolik. Spojrzała spod przymrużonych powiek i wymruczała kusząco:

– To jak Heniu, na bagnety? Zdejmij ze mnie w końcu te koronki. Tylko nie porwij! Tak jak poprzednio stanęła do mnie plecami.

– Haftki – wyszeptała.

Odpiąłem niewielkie zatrzaski i gorset został mi w rękach. Sabina schyliła się lekko i zsunęła z siebie pantalony. Odwróciła się w szybkim piruecie i spojrzała mi w oczy. Zafalowały zgrabnie ciężkie piersi. Położyła mi dłonie na ramionach i lekko pociągnęła w stronę łóżka.

– Chodź...

Objąłem ją i przytuliłem z całych sił. Poczulem ciepło i sprężystość jej ciała, a w nosie zawirował mi zapach jej perfumy.

Świat eksplodował.

– Takie buty! – powiedział Mikry z uśmiechem, przerywając opowiadanie Leonowi. – Do Mroza zaprowadziłeś oficerka. Lepiej nie mógł trafić. Mróz u Hiszpańskiego kiedyś szył buty. Tyle, że do łap mu się kleiło sakramencko wszystko, co się świeci. Ledwo od kryminału się uchronił.

– Do kogo miałem go zaprowadzić? – Tabakiera wywrócił z udawanym zdziwieniem oczami. – Toż ci tłumaczę, że farmazona mu wstawiliśmy w pociągu. Kto wie, czy zza rzeszotek teraz byśmy na świat nie patrzyli, jakby szułan szum zrobił! Może do tego twojego Hiszpana miałem z nim pójść? Tu trzeba było działać delikatnie. Dyskretnie! Wiesz ty Władeczek co to dyskrecja?

Ukradkiem obserwowałem Mikrego. Niewysoki, krępy i dobrze zbudowany, przypominał tragarza. Gdy mówił, wykrzywiał górną wargę w nieprzyjemnym, złowieszczym grymasie. Sprawiał wrażenie człowieka groźnego i nieobliczalnego.

Nie chciałbym mu wejść w drogę – pomyślałem, patrząc, jak ze złym uśmiechem na twarzy szybkim ruchem uderzył pięścią o pięść.

– Nie mów mi bracie o dyskrecji. To moje drugie imię. Dyskretny i szarmancki jestem jak mało kto. Dlatego tylko rządę na dzielnicy tyle czasu. Ludzie na Woli mnie szanują, a jak kto nie szanuje, to ja go prostuję! – zarechotał Mikry, po raz kolejny uderzając kułakami. – Mam tu takich dwóch miglancy, co porządku pilnują. Braciszkanie Wrześnie, Tusio i Robcik. Lepiej na żmiję wdepnąć, niż się z nimi spotkać. Ostatnio po pijaku psa sobie kupili, wilka. Uradzili między sobą, że będą go na frajerów szczuli. Bo to imaginuj braciszki i inne rzeczy robią, mam z nich pociechę! – zakończył z zadowoleniem.

Ze zgrozą patrzyłem, jak Władeczek nalewa wódki do szklanek. Na samą myśl o kolejnym picu kwaśna kula wymiocin podeszła mi do gardła.

Mikry urwał w pół słowa i spojrzał na mnie.

– Twój kumpel chyba będzie majaczył. Daj mu kubełko, bo posadzkę zanieczyści!
– Nic mu nie jest, swoje już oddał. Od wczoraj mi choruje. – Leon pokiwał głową. – Ale dość gadki. W geszeftach do ciebie przyjechaliśmy. Pomożesz nam to upłynnić po starej znajomości?

Tabakiera rzucił na stół dwa woreczki ze świecidełkami i okazał pliki czeków i weksli.

Władczek zmrużył oczy i uśmiechnął się wrednie.

– Żar wam z dupy bucha? Za gorąco w Staszowie się dla chewry zrobiło? – spytał słodkim głosem.

– Warszawę chciałem Hrabiemu pokazać, na prowincji więcej się nie nauczy. Poza tym, taki król Woli lepszą cenę da niż paser ze Staszowa czy okolic. Poślesz Hrabiego z jakimiś farmazonami, to się z miastem otrzaska – powiedział Leon.

– Na farmazona go wykierowałeś? – zdziwił się Mikry.

– Hrabia to prima doliniarz! Takiego karmanego wora sam Moryc Szajba by do chewry z otwartymi rękami przyjął – oznajmił z dumą Tabakiera.

– Dobre referencje mu dajesz.

– Bo dobry z niego człowiek. – Leon szturchnął mnie w bok. – Nie przysypiaj bracie, bo ci dziecko podrzuca. Nie wiadomo, co u Sadkowskiej nawywijałeś.

Smutno spojrzałem na Leona. Na samo wspomnienie naszej rajzy przeszedł mnie dreszcz. Przed oczami stanęła mi Sabina. Poczulem, jak na policzki wypływa mi rumieniec.

Władczek oglądał uważnie czek. Raz po raz podnosił na nas badawczy wzrok.

– Regularna robota. Kto wam drukował? Miałbym dla takiego szpenia robotę u siebie.

Leon wymijająco pokręcił głową.

– Nie znasz. Jeden taki z pewną ręką, co w Staszowie mieszka. Niedawno się pojawił, niedługo miejsca zagrzeje. Wolna dusza, po całym świecie się buja.

Mikry uśmiechnął się.

– Rozumiem – tiszę jedziesz, dalsze budiesz. Nie chcesz mówić, twoja wola. Papiery są prima. Biorę wszystkie, ustalimy na jaki procent i dobijemy targu. Co do błyskotek, daj mi kilka dni. Muszę się przygotować. Trzeba ocenić szlif, czystość i inne pierdoły, które rzutują na cenę. Wrześni mus w miasto puścić, blatny jubiler gdzieś się zapodział.

– Ludzi gubisz? – parsknął Tabakiera.

– Pijanica z niego, jak w tango pójdzie, balować i miesiąc potrafi. Nie raz, nie dwa ze smrodu go wyciągałem. Wart tego. Na błyskotkach zna się jak nikt. Chwali się, że w Holandii fach swój złapał, kamienie szlifował. Co naprawdę tam robił, czort go wie. Faktem jest, że zwiewał, jakby go wszyscy diabli gonili. Troszkę towaru ze sobą przywiózł, dałem mu robotę.

– Ty bracie kierujesz się na dobroczyńcę! – zakpił Leon. – Każdego przygarniesz, pracę dasz. Życie nie umierać, mortus nie straszny, jak pana Mikrego znasz.

Władczek nie wyczuł sarkazmu. Uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– Ludziom robotę daję, wielu mnie chwali. Dryndziarzy najmuję, handlu pilnuję, o porządek na Woli dbam. Remek Tumba troszkę geszefty podgryza, ale i na niego

sposób znajdę. Jak nie kasą to kosą.

– On jeszcze za moich czasów nie dawał sobie podsrywać. Kiercelak lepiej omijaj – zmarszczył brwi Tabakiera. – Teren dobry, Remek po dobroci nie puści. Po co mają się czompy rżnąć?

– Zmiękleś na prowincji – odparł Władeczek. – Wrześnie każdemu poradzą. Długo zabawicie w Warsiawie? Odnajmę wam mieszkanie, na czort w gostinicy hintom przed ślepią leżć?

Na twarzy Leona błysnął przelotny uśmiech.

– Chętnie przyjacielu, wygodniej z chęwą. Do geszeftów bliżej. Kiedy możemy wchodzić?

– Za kilka dni będzie czyste. Wrześnie frajera eksmitują, bo fika. Dzień im starczy. O graty i statki nie musicie się troszczyć. Na gotowe wejdziecie.

Nieźle muszą być nygusy – pomyślałem - żeby tylko nas któregoś dnia nie przyszli eksmitować.

II.

Człowiek leżący na podłodze obok kozetki jęknął i poruszył się nieznacznie. Na głowę miał założoną płócienną poszewkę, ściśle zawiązaną konopnym sznurem wokół szyi. Z każdym świszczącym wydechem na materiale worka powiększała się szkarłatna plama. Zakrwawione, związane na plecach ręce dygotały spazmatycznie. Serdeczny palec prawej dłoni był precyzyjnie obcięty przy pierwszym paliczku.

Za stołem siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, niższy i tęgi bawił się ciężkim mosiężnym kastetem. Obojętnie patrzyli, jak ofiara próbuje obrócić się na bok.

– Jak będzie frajerze – spytał łagodnym głosem drugi mężczyzna, szczupły, z gęstym zarostem na twarzy – będziesz grzeczny, czy mamy ci coś jeszcze do kompletu oberżnąć?

Pobity drgnął przerażony i znieruchomiał.

– Języka w gębie łachudro zapomniałeś? Zaraz ci gadane poprawię! – Tęgi ciężko westchnął, założył kastet na dłoń i wolnym krokiem poszedł do leżącego.

– Robcik, nie utrup frajera. Znaczy, jeszcze nie teraz.

Drugi z bandziorów uśmiechnął się na widok urażonej miny swego kompana.

– Na razie musi być tomny.

Tęgi z kwaśną miną zdjął kastet i wsunął go do karmana. Rozejrzał się po pokoju. Przez chwilę wpatrywał się w przerażoną kobietę tulącą do piersi córkę. Pilnował ich dorodny wilczur, który jakby od niechcenia co jakiś czas lizał pieczone żeberka leżące przed nim w brytfance. Wolnym krokiem podszedł do psa i poczochnął go po łbie.

– Pilnuj Azor, dobry piesek. Po robocie haberbusza pancio ci zafunduje – powiedział.

– Zwierzyne rozpijesz, kto nas będzie na robocie pilnował? – zarechotał jego towarzysz.

– Nie drefnij Tusiu, małe jasne z wianuszkiem nikogo nie zabije – powiedział flegmatycznie Robcik. – Antypka co innego!

– Racja brat, antypka to co innego. Jak łupniem to trupniem! Jak raz przy framudze stoi. Spróbujesz?

Tęgi smutno pokręcił głową i ruszył w stronę drzwi. Chwycił stojącą tam laskę za cieńszy koniec. Wolnym krokiem podszedł do leżącego i czubkiem buta podniósł mu głowę.

– Jak Boga kocham, chciałem grzecznie, ale skoroś się jełopo zatknął, to ja cię odetkam. Będzie bolało, postaraj się nie drzeć mordy, bo mnie coś globus dzisiaj naparza! – warknął ponuro, po czym z zamachu uderzył mężczyznę w okaleczoną dłoń.

Głuchy jęk bitego zagłuszył trzask łamanych kości, z odciętego palca trysnął nowy strumień krwi. Mężczyzna naprężył wszystkie mięśnie. Raz jeszcze stęknął z bólu, po czym zwiotczał. Głowa opadła mu ze stukiem na deski podłogi. Po parkiecie rozlała się plama moczu. W powietrzu rozszedł się ostry zapach amoniaku.

– Tatusiu! – zapiszczała dziewczynka, wtulając się w pierś matki. – Co panowie robią mojemu tatusiowi!

Robcik z pogardą patrzył na leżącego. Podniósł do oczu okrwawioną laskę i wytarł ją w białą serwetę okrywającą stół. Z dezaprobatą przewrócił oczami i wyszedł do kuchni. Tusiek przez długą chwilę wpatrywał się w dziewczynkę. Odezwał się cichym, beznamiętnym głosem:

– Twój tatuś robił dla pana Mikrego. Nie przepracowywał się. Jeździł do Kalisza i przywoził paczki. Niewielkie, zgrabnie zapakowane w szary papier. Leciutkie były. Nie musiał się męczyć lecz wiedz moje drogie dziecko, że twój ojciec okazał się być głupim i chytrym. Rozumiesz mnie? – spytał.

Dziewczynka nieufnie skinęła głową.

– To dobrze, że taka bystra jesteś. Słuchaj dalej.

Usta bandziora zlały się w cienką linię.

– Paczki pana Mikrego dochodziły coraz lżejsze. Wy za to obrastaliście w piórka. Tatuś kupił patefon – Tusiek skinął głową w kąt pokoju – piękną zastawę, meble... Wasz chlebowadca nie lubi tracić, złości się, gdy ktoś go okrada. Gdy się dowiedział, dlaczego paczuszki są lżejsze, posmutniał i poprosił nas, żebyśmy coś na to poradzili. Robcik wyszedł z kuchni, niosąc sagan wody. Stał nad pobitym i wylał na niego zawartość gara. Mężczyzna zakaszłał i skulił się niezgrabnie. Tusiek przeniósł spojrzenie na kobietę.

– Twój mąż jest na równi twardy, co głupi. Możemy go lać, aż zdechnie. Wytrzyma! Charakterny z niego sukinkot, my takich szanujemy. Wiesz kochana, co zrobimy? Nie będziemy go bili, darujemy mu zdrowie. Pomóż brat, posadzimy pana!

Robcik schylił się, chwycił za sznur zapętłony wokół szyi zmaltretowanego mężczyzny i bezceremonialnie szarpnął go w górę. Oparł go plecami o kozetkę i skinąwszy dwornie ręką, powiedział ze złym uśmiechem na twarzy:

– Mówisz, masz.

Tusio krótkim ruchem noża rozciął sznur opasujący szyję i zdjął worek z głowy mężczyzny. Cięcie ozdobiło pobitego kolejną szramą. Rozchylone, porozbijane wargi odsłaniały pokruszone zęby. Ciosy kastetu przetrąciły nieszczęśnikowi nos i poprzecinały łuki brwiowe. Oczy ginęły w podeszłych krwią opuchliznach. Złamana szczeka tkwiła pod nienaturalnym kątem. Kobieta na widok swego męża pobladła i zagryzła usta. Po wardze spłynęła jej strużka krwi. Apasz nachylił się nad nim i półgłosem powiedział:

– Spójrz na nie. Patrz, póki ci całkiem ślepią nie popuchły! – warknął. – Widzisz je ostatni raz. Ty przeżyjesz, ale twoje panie prześlancujemy na Dzika. Ferajna z „cyrku” załatwi je do rana! Chcesz, żeby cała ta hołota wyryćkała ci córeczkę i żonkę?

Robcik ponuro zarechotał.

– Tam lubią takie mięsko, będą mieli używanie!

Kobieta z przerażeniem w oczach przytuliła do siebie córkę i błagalnie spojrzała na męża.

– Walerek – załkała – miej litość nad nami!

Zbir przysunął krzesło i usiadł na nim okrakiem. Miarowo podnosił i opuszczał mebel, stukając nim o podłogę.

– Tik, tak, tik, tak. Zegar tyka. Żule w cyrku czekają... – powiedział, spoglądając na kobietę i dziecko.

Skatowany człowiek z trudem podniósł głowę. Na zmasakrowanych ustach wykwitły krwawe bąble śliny, gdy próbował coś powiedzieć. Zaciekawiony Tusio podszedł bliżej. Ujął w dłoń leżącą na stole antypkę i delikatnie podniósł nią głowę Walerka.

– Strych, za sznurami na bieliznę – wymamrotał niewyraźnie mężczyzna. – Odsunąć kupkie cegiel trzeba. Tam klepka ruchoma jest. Rękę w stronę świetlika trza wsunąć. Paczkie namacacie.

– Było tak od razu? – Robcik wyszczerzył zęby. – Sprawdź brat, ja miglanca popilnuję. Tylko pamiętaj, jak kłamiesz, ozór ci obetniemy za wstawianie farmazona!

– Nie kłamię – wyseplenił resztką sił pobity – prawdę mówię! Nie krzywdźcie mi dziecka! – zaszlochał.

Tusio delikatnie szturchnął laską kobietę.

– Gdzie masz klucz od góry? Sprawdzę, czy twój ślubny szopek z pogrzebu nie robi.

Kobieta skinęła głową w kierunku framugi, na której wisiał klucz na kółku.

Szczęknięty zamykane drzwi. Ciszę zapadłą w pokoju przerywał miarowy stukot krzesła.

Mikry niespiesznie szedł szpitalnym korytarzem. Za nim sunął Tusio. Nawet nie starał się ukryć rewolweru. Duży brytyjski Webley groźnie wystawał zza poły marynarki. Policjant siedzący przy drzwiach sali opuścił daszek czapki na oczy i zatopił nos w gazecie.

Mikry stanął na wprost jego krzesła i bez słowa odsunął na dół gazetę, którą zasłaniał się mundurowy.

Stójkowy z obawą wpatrywał się w mężczyznę.

– Panowie – wydukał – ja mam żonę. Na dniach rozwiązanie. Jak drakę zrobicie, z roboty wylecę. Za co dzieciaki utrzymam? Kraść pójdę?

Tusiek skrzywił się w złym uśmiechu.

– Słuchaj Pszczoła, psa to my już jednego mamy. Jak cię wysupcą, to u nas roboty nie znajdziesz. Nie masz się czego bać, my tu z wizytą do cierpiącego. Złe ludzie omłot mu spuściły. Pan Władeczek chce go pocieszyć. Masz, zapal sobie.

Wrzesień podał policjantowi drewniany munsztuk, w którym tkwił zwinięty banknot. Rozdygotany stójkowy niepewnie odebrał lufkę. Patrząc w oczy mężczyzn stojących naprzeciw niego, wstał powoli, trąc plecami o ścianę.

Tusio pchnął drzwi izolatki. Leżący na łóżku mężczyzna otworzył oczy i z trudem obrócił głowę w stronę wchodzących. W jego oczach zamigotał strach. Chrapliwie wciągnął powietrze i niewyraźnie wymamrotał:

– Wybacz...

Mikry bez słowa podsunął krzesło i usiadł obok łóżka. Wyciągnął zza parkanu dużą złotą papierośnicę i wyjął dulca. Tusiek podał mu ogień.

Władeczek przez chwilę zaciągał się aromatycznym dymem, patrząc w okno.

– Wiesz ty chłopaku, dlaczego żyjesz? – spytał.

Nie czekając na odpowiedź, ciągnął:

– Pojmujesz, co się stało, że Wrześnie cię nie ukatrupiły, ty mały wszawy gnojku?

Nie wywalaj tak ślepiów, bo ci zostanie i będziesz jak żaba na Erdalu!

Zaciągnął się papierosem i kontynuował:

– Żyjesz, bo kocham swoją siostrę. Obiecałem jej, że będę dla ciebie łagodny.

Zapamiętaj jednak Walerian, jak tylko dojdiesz do siebie, wyrwij z Warszawy jak najdalej! Do mieszkania nie wrócisz. Tam już inny lokator. Twoja stara ma tu jakąś rodzinę. Tam po wypisce się zatrzymacie. Jak tylko będziesz na chodzie, pójdziesz do matki, pożegnasz ją i nigdy nie wrócisz. Zrozumiałeś?

Walerek z trudem skinął głową i wycharczał:

– Rozumiem.

Mikry wstał i ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się przy drzwiach. Pstryknął w daszek dęciaka, salutując w kierunku swojego siostrzeńca.

– Praszczaj Walerek – powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł.

Tusiek nachylił się nad posłaniem i syknął:

– Obyś mi więcej w drogę nie wszedł. Nie będę wtedy taki miły. Żegnaj frajer.

Szybkim ruchem złapał leżącego za obandażowaną dłoń i z całej siły ścisnął. Chrupnęły połamane wcześniej palce. Krew z kikuta zabarwiła na czerwono bandażę. Walerian zemdlał.

– Madame, gabinet dla trzech spragnionych gentlemanów! – zaordynował Rodenko.

Sadkowska rozplynęła się w uśmiechu.

– Wszystko przygotowane, panowie będą zadowoleni. Nasycicie ciała i zmysły...

Ledwie rozsiedliśmy się w miękkich, wyściełanych bordowym pluszem fotelach, do buduaru weszły dziewczęta, niosąc tace z przystawkami oraz oszronione karafki wódki.

Serce zabiło mi szybciej – Sabina!

Stawiając przede mną karafkę, uśmiechnęła się delikatnie i mrugnęła okiem. Zaszumiło mi w głowie, jak po wypiciu szklanki wódki.

– Leon – powiedziałem zmienionym głosem – zadzwon na madame. Jeśli można wziąłbym prywatny gabinet.

Rodenko i Tabakiera spojrzeli po sobie.

– Nie pasuje ci nasze towarzystwo? – spytał z przekornym uśmiechem Leon.

– Sam będziesz siedział? Nie lepiej z przyjaciółmi? – zarechotał oficer.

– Dość mam chlania – mruknąłem. – Bawcie się beze mnie.

Gregor uśmiechnął się radośnie.

– Zakochała się ptica! Może maści doktora Parczewskiego ci potrzeba? Panny nie wybruchacisz i przed francuską chorobą ochroni!

– Podobno dobra na łysienie i samogwałt, zostawię tobie kapitanie – odciąłem się Rodence.

Gregor poczerwieniał i nerwowo poruszył szczęką. Widać było, że nie zwyczajny był do tego rodzaju odpowiedzi. Tabakiera parsknął śmiechem.

– Widzisz Grzesiu, młodziak język ma szybszy niż rękę! Dogadał przednio! Niech się bawi. Jak to w pieśni stoi: „Użyjmy żywota, wszak żyjem tylko raz”.

Leon pociągnął za szarfę wiszącą u okna.

Kapitan z bezradnym uśmiechem pokręcił głową.

– Z worami nie wygrasz. Wypijmy strzemiennego, zanim młody pójdzie bawić się jak Greki, i jak Rzymianin bić!

Leżeliśmy przykryci cienkim prześcieradłem. Sabcia drzemała, cicho pochrapując. Pod delikatnym jedwabiem rysowały się kształty jej piersi. Delikatnie pociągnąłem materiał, który zsunął się, odsłaniając jej biust. W milczeniu chłonałem widok. Sabina leniwie przeciągnęła się i odwróciła głowę w moją stronę.

– Mogłabym tak do końca życia – zamruczała, sięgając po kieliszek wina.

– Leżeć na golasa? – spytałem z uśmiechem.

– Głuptas...

Objąłem ją i pocałowałem. Poczulem słodycz ust i cierpki smak wina.

– Jeśli tylko zechcesz, może tak być. Do końca życia. Naszego...

Ostatnie słowo wyszeptałem jej do ucha.

– Też będziesz leżał na golasa? – zdziwiła się Sabina, marszcząc brwi.

– Głuptas! – odparłem cicho, delikatnie całując ciepłą szyję dziewczyny.

III.

Siedzieliśmy w ocienionej alejce ogrodu Saskiego.

– Ja widzę, jak na nią patrzysz Heniu. Krew nie woda, sam bym się oglądał, gdyby nie...

Leon urwał w pół słowa i odwrócił głowę w stronę fontanny.

Przez chwilę trwała cisza, maćona jedynie dźwiękami odległej ulicy. Nie odzywałem się. Wiedziałem, że Tabakiera nie lubi i nie chce opowiadać o swojej przeszłości. Nie raz miałem ochotę spytać go o kobiety w jego życiu. Wciąż pamiętałem bibkę w Ciborowie i dziwne kieliszki w kształcie jelenich łbów.

„W Odessie, za zdrowie Leona na jego weselu z nich piliśmy”, powiedział wtedy Grzela. Mimowolnie uśmiechnąłem się pod nosem na wspomnienie kowala.

– Słyszałeś o Potiebni? – spytał Leon niespodziewanie.

Wpatrzony w strzelistą wieżę Soboru Aleksandra Newskiego górującą nad drzewami ogrodu, przecząco pokręciłem głową.

– Jakoś z ruska brzmi, to pewno i Rusek jakiś – odpowiedziałem leniwie.

– Ukrainiec konkretnie. Ale w powstaniu po naszej stronie Moskala bił.

Spojrzałem na Leona.

– W którym? – spytałem zaciekawiony.

– W tym co i Maciej walczył, Styczniowym, w sześćdziesiątym trzecim roku. Padł w potyczce z oddziałem majora Stolzenwalda. Gdzieś koło Krakowa, Skała, czy jak... Tam go dopadli.

– Skała? – spytałem – Taka góra? Jak w tym albumie, co go Maniek kiedyś przytulił i na melinę przyniósł?

Tabakiera uśmiechnął się na wspomnienie Mańka.

– Mieścina, mniejsza od Staszowa. Tu, w Saskim Ogrodzie, Potiebnia też nieźle namieszał. Zamach przeprowadził. Targnął się na... Czekaj, niech sobie przypomnę – Leon zmarszczył czoło. – Na von Lüdersa! Kawał capa z niego było, rusofil i polakożerca. Wolę szturmował, gnębił i karał. Niesławnie na ziemiach polskich zasłynął. Wielu ludzi spod jego ręki śmierć znalazło. Swołocz pierwszej wody. W nagrodę car batiuszka Namiestnikiem Królestwa Polskiego go uczynił. Szkoda, że Potiebnia wtedy fartu nie miał. Wiesz, dlaczego ci o tym opowiadam? – spytał.

– Ktoś musi pamiętać – powiedziałem cicho.

Tabakiera poważnie skinął głową.

– Mądrze mówisz, rzadko ci się udaje, ale teraz trafiłeś. Macieja braknie, mnie prędzej czy później kasztan powiezie, pasuje, żeby jakiś bystry wiedział. Kto nie zna i nie szanuje historii ziem, na których żyje, jest jak twoja kobyłka. Żre, sra i zdziwiony ślepia wybałusza, jak batem dostanie.

Parsknąłem śmiechem. Leon popatrzył na mnie ironicznie i zmienił temat.

– Wracając do tej twojej kamelii, zgrabna bestyjka. Miód z mlekiem, temperament ma niezgorszy. Powiedz mi bracie, ty się aby w niej nie zabujales?

Wzruszyłem ramionami i nieśmiało bąknąłem:

– Kto wie, może i tak.

Leon spojrział na mnie z uśmiechem na ustach.

– Szybko Heniu działasz. Ledwie kilka dni w Warszawce, a już wzdychasz do panny. Bacz, żeby cię w trąbę nie puściła, widać, że to nie jakaś pierwsza lepsza żytniówka ze wsi. Sabcia sprawia wrażenie kutej na cztery łapy. Takie siksy niejednego fartownika do cienia na szpagacie poprowadziły. Ty bracie głupot nie rób. Ona do sutenerów należy. To francowate typki. Niby możesz do ichniego waźniaka podbić i próbować wykup za dziewczuchę dać. Tyle że wtedy będą wiedzieć, że ci zależy. Zaśpiewają jak Cygan za babkę albo przeflancują do innego przybytku. Ciesz się bracie jeśli w tym samym mieście! Bywały przypadki, że kasy nie chcieli. Łeb za łeb, dostaniesz swoją niunię, ale przyprowadź kogoś na zastępstwo. Rachunek musi się zgadzać. A to bracie może cię z chewry wykluczyć. Honor stracisz, alfonsem cię okrzykną. Pamiętasz, kiedyś wspominałem, że prawidłny blatny z barchanów żył nie będzie. Żadna chwała dla złodzieja z panny się utrzymywać. Są co prawda nasze dziewczuchy, które ze złodziejem żyją i na róg chodzą. Tyle że to rzadkość. Nie każdy ma do tego nerw. Kaprawo troszkę, jak twą bogdanek wyobraca pół dzielnicy. Ja bym nie chciał z taką panną życia dzielić. Niejeden z naszych się przez to z ferajną na noże rznął. Pijany, co na sercu, to na języku! Bywało, że przy stole palnął, czy to specjalnie, czy dla draki, że kumpłowi za parę kopiejek babę wyobracał. Wtedy to już pierwsze słowo do mordobicia. Nie masz życia, jak cię chewra na języki weźmie. Respekt stracisz, nic nie zyskasz. Imaginuj sobie Heniek. – Leon przymknął oczy, zamyslił się, po chwili ciągnął: – Plamę na honorze tylko krwią zmyć możesz. Gdy

porzniesz frajera, co gębą trzaska na prawo i lewo, myślisz, że będziesz miał spokój? Tu mój drogi nie ma przebaczenia. Pyskacz jest w chęrcu, kumpli ma, rodzinę braci... Dintojra robi się na całego. Nie wiesz, kto i kiedy kosa ci w ślepiu zaświeci. Śledzia możesz łyknać, nawet się nie spostrzeżesz. Jucha się ryszokami leje przez dziurawca, co na rogu klejenta łapie. Ty się za aksamitkami nie oglądaj, chcesz sobie ulżyć, wal jak w dym! Ale na żonę wybierz jakąś uczciwą dziewczuchę.

Zarumieniony opuściłem głowę. Leon przez chwilę milczał.

– Wiesz Hrabio – odezwał się – początkowo chciałem załatwić geszeft i do Staszowa brykać. Teraz się łamię, wróciły wspomnienia. Może jednak posiedzimy tu troszkę dłużej. Ty z Mikrego ferajną się po mieście pobujasz, ja stare kąty zwiedzę. Chawirę nam Władeczek szykuje, to bezpiecznie posiedzimy parę tygodni. Co ty na to?

– Posiedzieć można – odparłem z uśmiechem, odprowadzając wzrokiem kilka pensjonariuszek, które pod opieką statecznej matrony szły alejką.

– Heniek! Ty żabi ogierze! – roześmiał się Tabakiera. – To ja tu gębę sobie strzępię, honor i cnotę twoją ratuję przed poszarganiem a ty co? Jak dziecko, cały czas za babami się oglądasz!

Spojrzałem na niego. Przeciągnąłem się i wstałem z ławki.

– Chodźmy coś zjeść, głód mnie ścisnął.

Obiad obstalowaliśmy w podrzędnej knajpie. Mała, zadymiona salka zapchana była gośćmi. Lwią część klienteli stanowili robotnicy z pobliskich fabryk. Odstawaliśmy od towarzystwa. Czuję się obco i niepewnie. Co i raz łowiłem nieprzychylnie spojrzenia. Tabakiera zdawał się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się wokół nas. Z apetytem pałaszował miskę flaków. Patrzyłem na niego z niesmakiem.

– Leon, jak ty możesz to dziadostwo jeść? – spytałem skrzywiony. – Wiesz, co krasula w tym nosiła?

– Czy ja ci bracie do golonka zaglądam? Zajadasz, aż się uszy trzęsą, pure z grochu smarujesz, a nie widzisz, że niedogolone? – Leon wskazał łyżką na kawałek mięsa, który właśnie podnosiłem do ust.

– Bardzo śmieszne – fuknąłem, zrzucając na brzeg talerza kawałek skóry z dorodną kępką szczeciny.

Drzwi speluny otworzyły się z trzaskiem. Do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn. Na chwilę przycichł knajpiany gwar, wszystkie oczy zwróciły się w kierunku przybyszów. Wyższy z nich miał gładko ogoloną głowę i starannie przystrzyżoną brodę. Rozejrzył się bacznie po sali. Głęboko osadzone oczy, skryte pod krzaczastymi brwiami, zdawały się przewiercać na wylot każdego, na kogo padło spojrzenie. Czoło znaczyła mu gruba, pulsująca żyła. Drugi, niewiele niższy tęgi drab szturchnął swego towarzysza i skinieniem głowy wskazał nasz stolik. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się jednocześnie. Tęgi cmoknął cicho. Dorodny wilczur, którego gruby trzymał na smyczy, leniwie podniósł się z ziemi. Powoli ruszyli w naszą stronę. Ludzie siedzący przy stolikach mimowolnie podsuwali krzesła bliżej blatów, robiąc przejście dla mężczyzn. Stanęli bez słowa przy naszym stoliku. Wilczur usiadł i zaczął wpatrywać się w moje golonko. Leon powolnym ruchem odsunął niedojedzone flaki. Spojrzył na przybyszów i spokojnym głosem spytał:

– Pomóc jakoś? Miejsce przy stoliku zrobić?

Wilczur z głośnym świstem zaczął obwąchiwać mi spodnie. Odruchowo wyciągnąłem rękę i pogłaskałem go po łbie. Pies z ukontentowaniem przymknął oczy i uniósł łeb w oczekiwaniu na dalsze pieszczoty. Podrapałem go pod pyskiem. Wilczur zaskomlał szczęśliwy i polizał mi dłoń.

Obaj mężczyźni patrzyli na to niebotycznie zdumieni. Z niedowierzaniem wpatrywali się na przemian we mnie i w psa.

– Azor, ty łachu cmentarny, bo cię do hycła oddam! – wychrypiał tęgi, szarpiąc smyczą. – Zachowuj się jak człowiek, nie łaś się do byle lebiegi!

Pies, gorliwie machając ogonem, polizał mnie ponownie po dłoni.

– Miglanc – wyższy kiwnął w moją stronę – jak to zrobiłeś, że cię Azor nie zeżarł?

– Rękę mam do zwierząt – odparłem, uśmiechając się.

– Pomóc jakoś? – zagaił ponownie Leon.

Wyższy oparł się rękoma o blat, nachylił się i cicho spytał:

– Ty jesteś Tabakiera?

Leon potakująco skinął głową.

– Tusio – przedstawił się krótko mężczyzna. – U Mikrego chodzę. Żentelmen ze zwierzyną na śnurku to mój braciak, Robcik. Wrześnie jesteście. Władeczek chce was widzieć. Trzeci dzień za wami dymamy po dzielnicy. Ten z ręką do psów, to kto on jest?

– Swój, z ferajny – powiedział Leon. – Przekaż Władeczkowi, że będziemy z wieczora.

– Sie wie, powiem mu. Swoją szosą to moglibyście jadać w lepszych miejscach. – Tusio skrzywił się z niesmakiem. – Padliną tu czuć.

– Źle nie jest, w cieniu gorzej dają, a blatni nie pękają – zrymował Leon.

Bracia uśmiechnęli się do siebie. Tabakiera wziął z mojego talerza kawałek ostygłej, szczeciniastej golonki i podał wilczurowi. Ten, bez żadnego ostrzeżenia z głośnym szczeknięciem rzucił się na Leona. Miałem wrażenie, że tylko i wyłącznie refleks karmannika uchronił go od straty palców. Przestraszony szarpnął się do tyłu i przewrócił razem z krzesłem. Wrześnie parsknęli głośnym śmiechem. Tusiek odciągnął warczącego wilczura i podał Tabakierze rękę, który po chwili wahania przyjął pomocną dłoń i wstał na równe nogi, niepewnie zerkając w stronę szczerzącego zęby zwierzęcia.

– Przy nas cię nie zagryzie – powiedział Tusio z krzywym uśmiechem – co najwyżej pomemła. Widzimy się wieczorem.

Stojący przy szynkwasiu inspektor Napiórkowski zdawał się być pochłonięty zawartością kufła. Podniósł szkło do ust. Zatrzymał rękę w pół drogi i wyraźnie zniesmaczony wyłowił z gęstej piany muchę. Z kwaśną miną podsunął ją właścicielowi knajpy pod nos. Na rumianej, okolonej bujnym wąsem twarzy barmana wykwitł uśmiech.

– Stworzenie Boże – powiedział spokojnie, wzruszając ramionami. – Ile takie beleco ci tego piwska łachu wypije? Poresztą, co byś chciał za te swoje kilka miedziaków? Żeby ci się syrena w haberbuszu pluskała? Cyckami dla osłody świeciła?

Napiórkowski bez słowa rzucił należność na blat i wyszedł z lokalu.

Na ulicy Leon skinął na dorożkę i rzucił sałaciarzowi nazwę hotelu. Poprosił o

postawienie budy. Dryndziarz wzruszył ramionami i ze stoickim spokojem zaczął szarpać się z opornymi pałkami, na których miała zostać rozpięta osłona. Po chwili nad ławkami rozpostarł się brezent.

– Jest plandeka dla szanownego pana dziedzica.

– Charaszo, będzie na piwo – powiedział Tabakiera.

Usiedliśmy na wysłanych filcem ławkach. W mosiężnych flakonach zamontowanych na słupkach pojazdu tkwiły świeże kwiaty. Snuł się delikatny, ulotny zapach damskich perfum.

– Co ta fura taka strojna? Do ślubu z ludźmi lata? – zdziwiłem się.

– Królowe nocy fiaker wozi – mruknął Leon. – Heniek, coś ty temu wilkowi zadał, że on tak się łąsił? Toż to bydlę mało mi ręki nie odgryzło, jak go karmić chciałem!

Spojrzałem na Tabakierę, na mankiecie koszuli widać było ślady krwi.

– Ugryzł cię? Głęboko sobaka dziabła? – spytałem zaniepokojony.

– Kawalek szkła był na podłodze, jak klapnąłem na podłogę, to rozwaliłem palec. Nic poważnego. Mów mi tu prędzikiem, dlaczego bydlę się do ciebie łąsiło!

Opuściłem głowę i milczałem krótką chwilę.

– Widzisz Leon, to było tak. Wczoraj, gdy byliśmy u madame, to ja z Sabiną w gabinecie urzędowałem, wiesz przecież.

– Ja cię amancie z Bożej łaski nie pytam, coś ty u Sadkowskiej wyczyniał – parsknął rozbawiony Tabakiera. – Nie czas na przechwałki!

– Jak nie chcesz, mogę nie mówić – fuknąłem urażony.

Leon uśmiechnął się i westchnął z udawaną powagą:

– To już nic powiedzieć nie można, bo się Hrabia obrazi. Delikatny się zrobiłeś ostatnio, niczym jakiś Potocki czy inny Radziwiłł. Dobrze, pochwal się. Wytrzymam, mam wprawę. Maniek jeszcze większe plecie androny.

– W gabinecie urzędowałem – powtórzyłem, celowo przeciągając słowa. – Sabcia ma tam na ozdobę takie jakieś nieporozumienie. Ni pies, ni wydra...

– Wiem, pekińczyk – wtrącił Leon.

– Nie znam się na sobakach, może i tak. Małe toto, kudłate i z płaskim pyskiem. Ślepią ma wybałuszone, jakby zatwardzenie wieczne miało. Szpetne to stworzenie wlało mi na kolana i głaskać się kazało. Że Sabina lubi tego szczura niemożliwie, z kolan nie zrzuciłem. Czochrałem dłuższą chwilę, czekając na kolację. Okazało się, że to suka jest i na dodatek ma zapotrzebowanie na męża. Łachy mi trochę juchą powalała i widocznie wilk tych Wrześni to wyczuł. Ty w salonie wódę żłopałeś, to inaczej waniasz.

Tabakiera buchnął głośnym śmiechem.

– Heniek! Ty masz więcej szczęścia niż rozumu! Jeden pożytek z twoich romansów taki, że Wrześnie są nam przez to przychylne. Widać było, że chłopcy niemożliwie zdziwione były, gdy sobaka słabiznę na ciebie wywaliła! Jak pójdziemy jakiś geszeft robić, to się czosnkiem nasmaruj, może Izraelity rabat ci dadzą!

Wzruszyłem ramionami i wtuliłem się w kąt dryndy. Z udawaną obrazą powiedziałem:

– Czekaj, prędzej rak dupą świsnie, niż cię kiedyś znów przed psami obronię!

– U mnie słowo droższe od pieniędzy – powiedział Mikry. – Trochę trwało, ale

papier wam załatwiłem. Sarmak z czeków i weksli macie taki, że w pryncypialnej dzielnicy możecie kamienicę kupić. Nie wiem kogo trafiliście, ale to złoty strzał. Ze świecidełek będzie o wiele więcej. To dobra nowina. Zła jest taka, że musicie poczekać. Spylić tyle kamienia to nie to, co karman zdoić czy nawet kaber wydłubać. Tu trzeba lepszej głowy, żeby się nie zasypać. Chawirę macie prima, graty i statki po poprzednim właścicielu zostały.

Władeczek uśmiechnął się, widząc spojrzenie Leona.

– Nic się nie bój, siostrzeniec mój tam mieszkał. Teraz musiał na prowincję wybyć, świeżym woźdkiem pooddychać. Teściowa mu się pochorowała i pojechali ją kurować. Od jutra możecie zamieszkać. Poznaliście już Wrześni? Morowe chłopcy, takie z nich anioły stróże, że mucha nie siada. Jak chcecie, to przyjdą do hotelu. Przeprowadzić się pomogą. Bagaży macie dużo?

– W dorożkę wejdzie, sami poradzimy.

Leon uśmiechnął się, zgarniając sarmak do czemadanka. Pchnął po blacie dwie paczki rubli.

– To na parapetowe – opić trzeba chałupę. Inaczej podłoga może skrzypieć.

Mikry z zadowoleniem zatarł dłonie.

– Wrześnie coś narychtują. Będzie na was czekało.

– Na nas Władeczkę. Nie odmówisz mi przecież, napijesz się ze starym kumplem. Braty też niech zostaną, zawsze to weselej będzie.

Wilczur chęptał pienisty napój prosto z wazy stojącej obok stołu.

– Nie zaszkodzi mu? – spytałem Robcika.

– Coś ty Hrabia, z byka spadł? – zarechotał Wrzesień. – Nasz Azor piwo obala jak stary i nic mu nie jest. Co najwyżej za zapotrzebowaniem się go na podwórko wypuści. Cwana sztuka, sam wróci, prowadzić go nie trzeba!

Władeczek z uznaniem kiwnął głową.

– Prawilnie gazuje. Trzecią butelkę obala!

– To może on powinien się Gazor nazywać? – spytałem, biorąc kawałek salcesonu leżący na talerzu. – Masz, zakąś, bo suszaka będziesz miał! No Gazor, dawaj do pana! – zacmokałem.

Pies poderwał się na równe łapy i złapał w locie rzuconą przeze mnie zakąskę.

Wrześnie popatrzyli się po sobie. Na czole Tusia wykwitła gruba żyła, lekko spurpurowiała i wykrzywił usta w złym grymasie. W pokoju zapanowała cisza. Naraz Robcik ryknął śmiechem i walnął mnie w plecy, że aż mi tchu zabrakło.

Krztusząc się, wystękał:

– Ga-gaaazor! Aleś doowalił!

Z kuchni wyjrzała młoda dziewczyna, popatrzyła na rozbawionych braci i z dezaprobatą pokręciła głową.

– Co się zatracenće tak drzecie? Małom z rąk brytfanki nie wypuściła. Z podłogi byście żarli jak ta wasza sobaka!

Biesiada trwała w najlepsze. W pewnej chwili Azor szczechnął krótko i podbiegł do drzwi. Tusio ciężko podniósł się od stołu i poszedł wypuścić pupila na klatkę. Po chwili przez otwarte okno dobiegło głośne warczenie i krzyk

przerażonego człowieka:

– Ratunku! Zabił mnie! Ludzie, ja już nie żyję!

Skoczyłem do okna. Na podwórzu stało kilka osób z przerażeniem obserwujących, jak pies goni właściciela kamienicy. Zażywny starszy pan, trzymając w ręce kapelusz i z rozwianym płaszczem, biegł w stronę klozetek stojących w rogu podwórza. Przerażony dopadł jednej z nich i z impetem zatrzasnął drzwi zdobne w misternie wycięty półksiężyc. Wilk, złowrogo warcząc, przywarował obok bardaszki.

– Gazor gospodarza chce zjeść! – zawołałem i obejrzałem się w stronę Wrześniów.

Mikry skrzywił się i pstryknął palcami.

– Odwołajcie tego rzeźnika, ale tak w trymigi. Nie chcę w tej kamienicy żadnej draki. Robcik wzruszył ramionami, wstał od stołu i poszedł do okna. Przez chwilę z satysfakcją na gębie oglądał zamieszanie na dziedzińcu. Gwizdnął przeciągle. Na ten sygnał Azor, jakby od niechcienia i z wyraźnym ociąganiem potruchtał w kierunku czarnych schodów. Po jakimś czasie rozległo się skrobanie do drzwi. Robert poszedł do sieni, by wpuścić psa do mieszkania. Azor wbiegł do pokoju i radośnie zamachał ogonem. Siadł przy wazie z resztką piwa i prosząco podniósł łapę.

– Nabiegało się stworzenie to i go suszy! – roześmiał się Mikry. – Dajcie mu piwa, zasłużył sobie.

Wyjąłem ze stojącego obok stołu wiklinowego kosza butelkę. Azor przymilnie zaskomlał i zastygł w oczekiwaniu.

– Nam też polej! – Robcik palnął pięścią w stół. – Toast z Azorem spełnimy!

Ferajna gruchnęła gromkim śmiechem.

Po niespełna godzinie rozległo się głośnie łomotanie do drzwi. Rozbawione towarzystwo zdawało się nie zwracać uwagi na rosnący rumor.

Robcik obejrzał się, po czym wzruszył ramionami.

– Ja już otwierałem. Więcej zelówek ścierać nie będę. Kropnij się Hrabia, młody jesteś. Sprawdź, kogo cholera niesie.

Poszedłem zobaczyć, kto dobija się do mieszkania. Otworzyłem drzwi i zmartwiałem. Na progu stał przodownik policji w towarzystwie dwóch posterunkowych. Zza ich pleców trwożnie wyglądał właściciel kamienicy. Stójkowy bezceremonialnie odepchnął mnie w głąb korytarza. Władza wkroczyła na salony.

IV.

Wyprężony jak struna stójkowy stał ze wzrokiem skierowanym na dwugłowego orła zdobiącego gabinet komisarza. Poczul, jak po skroni spływa mu kropla potu. Nie śmiał jej obtrzeć. W uszach ciągle dźwięczał mu głos przodownika: „Toś musiał bracie mocno nawywijać. Sam Mikołaszka po ciebie posłał. Żegnaj się z rodziną. Gacie ciepłe zabierz, bo w cytadeli zimno nawet w lipcu...” Ze zdziwieniem zezował na niechlujnie ubranego mężczyznę, który rozsiadłszy się w fotelu stojącym w rogu gabinetu, palił cygaro. Co taki łach robi u komisarza? Toż ja lepszych z wynkla lolą gonię – myślał. Komisarz zdawał się być bez reszty pochłonięty przeglądaniem akt zgromadzonych w teczce o grubych, brązowych oprawach. Powoli i metodycznie przerzucał luźne kartki. Z sąsiedniego gabinetu doszedł odgłos przewracanego mebla i stłumiony jęk bitego człowieka. Konstantinow skrzywił usta

w złym grymasie i koso spojrzął na ścianę, za którą ktoś ośmielił się mu przeszkadzać. Jakby dopiero teraz zauważył stojącego na baczność funkcjonariusza. Powoli skoncentrował na nim wzrok.

– Spocznij! – zabrzmiała krótka komenda.

Policjant instynktownie rozluźnił mięśnie i wysunął lewą nogę o pół stopy w przód.

– Posterunkowy Janicki, przedwczoraj pełniliście służbę. Opowiedzcie o przebiegu zdarzenia – wycedził siedzący za biurkiem, patrząc ponuro na mundurowego.

Janicki przełknął ślinę i ponownie przyjmując postawę zasadniczą, zaczął recytować szczekliwym głosem.

– Podczas pełnienia służby, na komisariat zgłosił się poszkodowany Pinkus Sztern, właściciel kamienicy. Doniósł on, iż został zaatakowany na własnym podwórzu przez zwierzę rasy pies.

Siedzący w rogu Napiórkowski parsknął krótkim śmiechem. Wyraźnie speszony stójkowy rzucił w jego kierunku szybkie spojrzenie i kontynuował raport.

– Podczas wykonywania czynności służbowych weszliśmy do mieszkania w którym trwała bibka alkoholowa. W towarzystwie pięciu mężczyzn przebywał rzeczony pies i kur... kurtyzana panie komisarzu – zająknął się Janicki. – Na żądanie zaprzestania libacji odpowiedzieli w sposób zelżywy i zaprosili przodownika do stołu – ciągnął. – Ja i posterunkowy Tasina zostaliśmy wyrzuceni za drzwi przez dwu drabów oraz psa. Nikołaj Konstantinow poczerwieniał na twarzy, sapnął wściekle i wstał zza biurka. Oparł się kulkami o mahoniowy blat i ryknął:

– Swołocz! Ja cię powinienem do kryminału wsadzić!

Przestraszony posterunkowy skurczył się, jakby w oczekiwaniu ciosu. Komisarz, ochłonawszy z pierwszego gniewu, wskazał palcem na Janickiego i wysyczał.

– Ty gnido śmiesz zwać się policjantem? Stróżem prawa?! Ty masz ludzi bronić przed takimi szumowinami jak te łotry i ich zwierzę rasy pies! Jak ostatnie ciapciaki daliście się na korytarz wynieść! Wiesz, co zeznał właściciel domu? Pod przysięgą opowiedział, jak to nasi dzielni posterunkowi łapówki wzięli i grzecznie pobiegli na posterunek!

Konstantinow uniósł leżący na blacie biurka świstek papieru i przeczytał:

– Stojąc w progu, słyszałem, jak dwaj dani osobnicy wręczyli panom policmajstrom zwitki rubli i butelkę z czerwoną szyjką. Jeden z nich, ten łysy, większy powiedział: bierz sobako, jak ci dają! Jak nie, to marny twój los... – Komisarz podniósł wzrok znad kartki. – Zaprzeczysz durniu?! Co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Wziąłem łapówkę – powiedział cichym, łamiącym się głosem Janicki. – Jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje.

Siedzący do tej pory obdartus wstał od stolika i podszedł do stójkowego.

– Wiesz ty bracie, co ja najbardziej cenię u ludzi? Odwagę! Jesteś odważny, masz jaja z mosiądza a nie zbuki. Nie każdy potrafi się przyznać. Tylko dlatego zostaniesz w służbie. Twój kolega Tasina zaprzeczył wszystkiemu. Już go nie ma w naszych szeregach. W Warszawie dobrej roboty nie znajdzie, już moja w tym głowa. Ty, jeśli chcesz dalej państwową posadę utrzymać, będziesz nam donosił na przodownika. To nie koniec! – Napiórkowski ostrzegawczo podniósł palec, widząc, jak zgnębiony policjant otworzył usta. – Raporty na piśmie mają łądować na tym biurku co miesiąc! Będziesz też meldował, ale tak naprawdę rzetelnie, co się na ulicach dzieje. Którzy z

twoich kolegów dorabiają u Wrześni i Mikrego. Nie kręć łbem jak kobyła do sieczki. Wiem dokładnie, od kogo w łapę wzięłeś. A nar git, a kliger nemt. Każdy bierze, nie mam o to żalu. Teraz będziesz na dwie strony grał. Zrozumiałeś? To podpisz tą bumagę. – Tajniak wskazał kartkę leżącą na biurku.

Posterunkowy potakująco kiwnął głową. Na sztywnych nogach podszedł do biurka, umoczył stalówkę w kałamarzu i bez czytania podpisał dokument.

Naczelnik z krzywym grymasem przemilczał to odstępstwo od regulaminu.

– Wyjść! – warknął.

Janicki strzelił obcasami, wykonał przepisowy zwrot i wymaszerował na korytarz. Zamknął za sobą starannie drzwi, po czym oparł się ręką o ścianę i poluzował kołnierz munduru. Strzyknął gęstą śliną do stojącej obok spluwaczki i wycharczał przez ściśnięte gardło:

– Cholera nadała ten patrol ...

– Coś ty taki nieswój Heniu? – spytał Tabakiera, nalewając kubek piwa ze stojącego na kredensie dzbana. – Suszak czy baba?

– Leon, powiedz mi, ten cały Władeczek ma jakieś dojścia do alfonsów? – mruknąłem zawstydzony.

Tabakiera popatrzył na mnie z troską.

– Heniek, zastanów się dobrze, co robisz. Alfonsy u Tumbi w kieszeni siedzą. Stary Remek to gruba ryba. Z nim nie ma przelewów. Niby chewra, a w polityce mocno siedzi. Z PPS-em trzyma, nawet ministra i naczelniki go poważają. Ludzie jego z nagantami po mieście latają i co i raz wykopcą komuś w łeb. Nasz Mikry to przy nim szczeniak. Owszem, może ci zapewnić razgawor z sutenerami. Tyle, że to wszystko przez Tumbę idzie. On za to sarmak zgarbie. Dostać się do niego łatwo, ale pamiętaj – z jego meliny mocniejszych od nas ze ślędziem pod siódmym żebrem wynosili. To nie apasz watażka, byle urka-burka, król podwórka. Dla Remka zabić, to jak spluć. Chlapiesz coś i zrobią cię na biało. Im łatwo na odcisk wejść. Zastanów się, czy warto dla baby tyle ryzykować. Ja tobie nie wróg, wiesz dobrze, że za syna cię uważam. Jeśli chcesz, porozmawiamy z Mikrym brzęcząco. Zanim jednak zrobisz cokolwiek głupiego, na spokojnie przemyśl to jeszcze raz i wstaw mowę tej całej Sabince. Jeśli ona będzie nosem kręciła, nie masz czego u maciorników szukać. Wiedz też jedno, jeśli dojdzie do nawijki i przed starszyzną sutenerską staniesz, rozmawiał będziesz przy kobiecie. Cała gamza pod dintojrą będzie. Nie możesz strachu okazać. Ja z tobą wejść nie mogę, będziesz radził sobie sam. Paniał?

– Zrozumiałem – westchnąłem.

– Słuchaj, Karol. – Władeczek uśmiechnął się przymilnie do swego współrozmówcy. – Ja wiem dokładnie, że ty byle kokot nie wystawiasz, aksamitki u ciebie prima. O jednej z twoich panien chcę porozmawiać.

Karol, bardziej znany jako Śliczny Lolek, stał wysoko w hierarchii. Nie było zamtuza, który by mu się nie opłacał. Działał z polecenia Tumbi. Był niekwestionowanym królem okolicy. Milczał przez chwilę, spoglądając na Mikrego. Wystudiowanym gestem podniósł dłoń i spojrział na równo przycięte, zadbane paznokcie. Chuchnął na ciężki złoty sygnet i przepolerował go o mankiet marynarki.

– Nawijaj – powiedział z uśmiechem.

Gdy Mikry skończył opowiadać, Lolek westchnął i skinął głową ze zrozumieniem.

– Młodość musi się wyszumieć, nie dziwię się chłopakowi, panna gładka. Wiem, o którą chodzi. Ta stara makrela Sadkowska nie może się jej nachwalić. Cały interes się wokół niej kręci. Lokalna gwiazdka taka. Ten gość, co się zabujał, to z ferajny, czy zielony?

– Nasz – odpowiedział krótko Mikry.

– Nie może sobie fartowniejszej siksy znaleźć? Złodziej z tuftą kiepska para.

– Lolo! – Władeczek uniósł rękę. – Nie moje niedźwiedzie, nie mój cyrk. Ja bym sobie życia z mamzelą nie układał. Chce mieć w łóżku kontrolowaną dziewczycę, niech ma! Jego sprawa. Pomożesz, czy gębę po próznicy szarpie?

– Coś ty taki nerwowy się ostatnio zrobił? Nie żołądkuj się, bo ci koafiura posiwieje. Pomogę ci, po starej znajomości. Tyle, że to będzie kosztowało. To nie są tanie rzeczy. Towar delikatny u nas na składzie, nie jakieś stuchujnice z Powiśla w łozach przez flisaków przecierane. Ten twój żonkiś przed nami stanie i porozmawiamy. Słono może beknąć. Jak nie ma sarmaku, niech lepiej odpuści. Dla nas wykupne, dla madamy tak na oko półroczny zarobek dziewczynki i buła dla Tumby. No, chyba że młody ma jakąś siostrzyczkę na podmianę. Wtedy inna rozmowa.

Mikry krzywo się uśmiechnął.

– To karmannik, a nie maciornik.

– Prezes – warknął Lolek – ja ci nie ubliżam!

– Masz szczęście tufiarzu kolorowy, że cię lubię. Inaczej już by cię Wrześnie na karmę dla węgorzy przerabiały. Tylko co by nasza matula powiedziała, jakbym własnego brata utrupił? Zgryzot jej nie będę dokładał. Starczy, że ma syna alfonsa! – Władeczek wyszczerzył zęby.

– Panie ober! – Karol machnął ręką w stronę przechodzącego kelnera. – Pół basa i dwa bigosy!

Spojrzał na Mikrego uważnie.

– Dureń z ciebie Władziu, ale ci pomogę. Na Krzywym Kole za trzy dni się spotkamy. Siksa będzie na was czekała. Bądźcie kwadrans na dziesiątą.

W milczeniu czekali na obstalunek. Gdy kelner przyniósł dania i butelkę wódki Lolek znacząco spojrzał na Mikrego. Władeczek zapłacił, zostawiając napiwek niewiele niższy od rachunku. Kelner błysnął wybrylantowaną czupryną i oddalił się z zawodowym uśmiechem na ustach.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gdy je otwarłem, ujrzałem w progu niemilosierdzie umorusanego kilkuletniego brzdąca. Głośno siąknął nosem i spytał:

– Pan Hlabia? List mam od pana.

– Od kogo masz to pismo smarku? – zainteresował się Leon, stając za mną.

– Od cała Mikołaja, co ma błodę az po...

Dzieciak nie zdążył dokończyć rymowanki, uchylając się od ciosu gazetą. Rozbawiony Tabakiera rzucił mu rubla i z uśmiechem powiedział:

– Daj tą bumagę i masz na piwo.

Szczawik złapał monetę w locie, po czym wetknął mi do ręki brudną, złożoną na cztery i zalakowaną kartkę. Zawinał się na pięcie, błyskawicznie zbiegł na półpiętro,

wyciągnął na całą długość język, po czym krzyknął:

– Od piwa bzuch lośnie i głowa się kiwa. Karmelu kupię!

Parsknęliśmy śmiechem. Rozłamałem lak i rzuciłem okiem na kartkę.

– Od Mikrego – powiedziałem. – Pojutrze na Krzywym Kole mam się stawić.

– Mamy trochę czasu. – Leon poważnie skinął głową. – Postaramy się dobrze to rozegrać.

V.

Wychudzona kobieta z przestraczem spoglądała w stronę Pięknego Lolka. Jakby ze wstydem poprawiała halkę z najpodlejszego perkalu i kucnęła nad miednicą.

– Pospiesz się Ryfka, klejenci czekają!

Niedogolony typ skinął głową w stronę stolika, przy którym siedziało kilku mężczyzn, grając w karty. Dziewczyna drgnęła, rozchlapując wodę po brudnej, zdeptanej podłodze. Chwyciła ręcznik i dokładnie wytarła uda. Sutener uśmiechnął się do Karola, bacznie taksując wzrokiem stojącą za nim Sabinę.

– Jak pan widzi, nasze siksy dbają o higienę – powiedział. – Nie ma lipy. Lokal prima sort, wyszukana klejentla.

Jeden z karciarzy zaśmiał się szczekliwie, dopił ze stojącego na stole kubka i złożony karty, ruszył w stronę kotary, za którą zniknęła przed chwilą Ryfka. W niewielkim pomieszczeniu były aż cztery takie kabiny. Nikt z bywalców nie przejmował się odgłosami dochodzącymi zza zasłon. Zajęci najpodlejszą wódką i kartami, czekali na swoją kolej.

Właściciel przybytku wskazał Karolowi gestem dłoni krzesło.

Piękny Lolek pokręcił przecząco głową i z cierpkim uśmiechem powiedział:

– Nie tym razem przyjacielu. Z damą jestem, nie mam czasu na przyjemności. Wyskakuj z doli dla patrona i widzimy się za tydzień.

Sutener podał Karolowi zwitek przetłuszczonych banknotów.

– Kiepski ostatnio czas na wolną miłość – mruknął jakby zawstydzony. – Proszę powiedzieć panu Tumbie, że staramy się z całych sił. Podnieść cen za bardzo nie możemy, bo już i tak część ludzi się od nas odwróciła. Myślałem, żeby ochędożyć troszkę przybytek. Remont jakiś zrobić, kotary nowe, firanki...

Lolek wziął banknoty w dwa palce i z wyraźną odrazą wsunął do kieszeni marynarki.

– Jak w burdelu interesy się nie kręcą, zmienia się kurwy, nie firanki – powiedział. – Lepiej będzie dla ciebie, jak się postarasz o lepszy utarg. Pan Remek to dusza człowiek, wiele potrafi wybaczyć. Nie lubi tylko jednego, jak się go z ciężko zarobionych pieniędzy okrada. Sabina, idziemy!

– Nałóż sobie coś do zjedzenia. – Karol wielkopańskim gestem wskazał na płytę pełną przekąsek. – Wiesz siksa, po co cię zabrałem na obchód?

Błada i zdenerwowana Sabina przecząco pokręciła głową.

– Po to, żebyś wiedziała, gdzie twoje miejsce. To, że jesteś protegowana u Sadkowskiej, w krótkich abugach można zmienić. W burdelu na Szczęśliwej wiele szczęścia nie zaznasz. Tam klejent inny, sama widziałaś.

Sabina mimowolnie wzdrygnęła się na wspomnienie ponurej nory, do której

zaprowadził ją Lolek.

– Skończą się perfumy i pomady. Piękne kiecki zamienisz... – Karol zastanowił się krótką chwilę. – Właściwie na nic, większość czasu z gołym zadkiem spędzisz, szkoda fatygi na desusy. Chamy potargają, jak ich oskoma złapie. Ładna jesteś, będziesz miała wzięcie – zarechotał oblesnie, lecz szybko spoważniał. – Teraz posłuchaj mnie uważnie. To może zaważyć na twoim losie! Ten frajer z prowincji, co się w tobie zabujał, za parę dni stanie przed chewrą. Chce cię od madamy wykupić i dla siebie mieć. Musisz być przy tej rozmowie, takie prawo. Masz się zgodzić! Tu o grubszą forszę idzie. Później absztyfikanta się splewi. Tiurma czeka na takich jak on. Pójdzie w cień, a ty będziesz ustawiona. Sadkowskiej interesa przejmiesz, ona już stara.

Siedzieliśmy w zadymionej knajpie. Niska powała była czarna od dymu. Z kuchni przedzierały się, walcząc o lepsze z kwaśnym odorem piwa i taniego tytoniu, nader interesujące zapachy. Zamyślony wspominałem Staszów. *Ciekawe co u Mańka* – pomyślałem, zerkając z ukosa na towarzystwo zajadające się kiszka na gorąco. Wrześnie zaordynowały szczupaka w galarecie i wódkę. Ja poprosiłem o piwo.

Po kilku zdawkowych uprzejmościach Tusio przeszedł do rzeczy:

– Słuchaj Hrabia, my z bratem nie mamy powodów, żeby kłamać. Nam po równo, czy forszę puścisz z pożytkiem, czy stracisz jak frajer. Twoja dola, rób co chcesz. Polubiliśmy cię, nie kryję. Mało kto do naszego Azora potrafi podejść tak, żeby ze wszystkimi palcami zostać. Wiemy, że z alfonsami masz sprawę. Z pierwszej ręki niejako. Wczoraj balowaliśmy u Sadkowskiej. Ja nie wiem czy z zazdrości czy z miłości, jedna taka tufta opowiadała nam troszkę o tej twojej bogdance. Ona nie dla ciebie bracie. Sztamę z maciornikami trzyma. Obiecali jej, że interes po madamie swojej przejmie. Chłopie, ty musisz być jej pewien jak samego siebie. To nie chewra, ona cię w trąbę puści, jak tylko większy sarmak wyniucha!

– Brat ma rację – wtrącił Robcik – zrobisz, co zechcesz. Frajery prawią, że dziwka i złodziej na jednym jadą wozie. Ale wiesz chłopie, co mawiają blatni? – ciągnął dalej, nie czekając na moją odpowiedź. – Murwa i glina to jedna rodzina... To jest bliższe prawdy. Ferajna cię nie lignie, tufta zawsze!

Opuściłem głowę i wpatrywałem się w stół. W ręku obracałem kufel z resztą piwa.

– Porozmawiam z nią. Panowie, ja ją kocham. Wiem, to frajerskie, ale pierwszy raz w życiu było mi z kimś naprawdę dobrze. Od pierwszego razu, jak z szulanami na Rycerską poszliśmy, ja wiedziałem, że ona mi pisana. Zdaje się być i do tańca i do różańca. Pieniądz rzecz nabyta, z miłością gorzej. Ta może być tylko jedna, taka prawdziwa – powiedziałem cicho, zawstydzony wyznaniem.

– Złodziej kochać powinien tylko forszę – prychnął wesoło Tusio. – Jak ma sarmak, to świat ma u stóp i dziwek na kopy!

Podniosłem głowę i zmartwiałem. W naszym kierunku szło dwóch dobrze ubranych typków. Ten bliżej, sięgnąwszy za pasek spodni, wyjął krótki rewolwer! Instynktownie poderwałem się z miejsca i cisnąłem w niego trzymany w ręku kuflem. Siedzący naprzeciw mnie Robcik zrobił błyskawiczny unik, grube szkło minęło go o włos. Przez twarz przebiegł mu grymas gniewu, zacisnął usta i nienawistnie zmrużył oczy. W tej chwili huknął głucho strzał. Bandzior, trafiony w

łokieć mimowolnie nacisnął spust. Drugi z kilerów próbował w panice wyszarpnąć coś z kieszeni za parkanem. Na odgłos strzału Wrześnie poderwali się jak na sprężynie. Tusio, wykonując zgrabny półobrót, chwycił stojącą wśród zakąsek butelkę i stuknął ją o rant stołu. Na ostrych krawędziach stłuczonej flaszki błysnął refleks światła. Wrześnie szybkim i precyzyjnym ciosem od dołu wbił pokruszone szkło w szczękę przeciwnika. Oczy Tusia świeciły dziwnym blaskiem gdy, patrząc czompowi prosto w twarz, przekręcił szklanego tulipana. W poszarpanej, głębokiej ranie przez chwilę widać było kość szczęki, pokiereszowany język i zęby. Potem wszystko zalała krew. Nim zdążyłem się zorientować, bandzior rzeźił, trzymając się za podbródek. Opadł na kolana, następnie na podłogę i charcząc, zwinął się kłębek. Robcik, przewracając sąsiedni stolik, ruszył w kierunku drugiego z napastników. Nim jednak zrobił pierwszy krok, z pomiędzy nas, niczym czarno brązowa błyskawica, wypadł Azor. Z przyprawiającym o ciarki rykiem skoczył do gardła kiler, który w tej samej chwili wyszarpnął zza parkanu kosę. Rozpędzony pies przewrócił go na podłogę i zaczął wściekle kąsać. Przerażony mężczyzna upuścił nóż, starając się osłonić gardło i twarz przed ścianą zębów i piany z pyska wilczura. Robcik schylił się i podniósł majcher. Złapał za obrożę Azora, który natychmiast uspokoił się i przywarował obok leżącego. Wrześnie wykonał kilka szybkich ruchów ostrzem. Trysnęła krew, mężczyzna zawył z bólu. Robert rozejrzał się szybko wokół siebie i podniósł leżący obok rewolwer. Zważył go w dłoni i krótkim, szybkim ruchem uderzył przeciwnika w skroń. Cała ta scena zdawała się toczyć w zwolnionym tempie. Tryskająca jucha, szybkie, zabójcze ruchy braci i atak Azora, mimo iż trwały mgnienie oka, zapamiętałem tak, jak widzianą kiedyś w objazdowym teatrze pantomimę. Gdy Leon ścisnął mnie za ramię, podskoczyłem, niczym obudzony ze złego snu.

– Spadamy Hrabia, zanim jakaś poruta będzie – syknął mi do ucha.

Ruszyliśmy ku wyjściu. Za nami, patrząc hardo na przerażonych klientów knajpy, podążyli Wrześnie. Na podłodze, w szybko rosnącej kałuży krwi pozostali niedoszli zabójcy.

Wyszliśmy przed knajpę. Z przyjemnością odetchnąłem świeżym powietrzem. Od nadmiaru emocji zakręciło mi się w głowie. Oparłem się o ścianę. Robcik spojrzał na mnie.

– Cały jesteś? Wszystko z tobą w porządku? – spytał.

Skinąłem potakująco głową.

– W takim razie zawijamy do nas. Brata trzeba opatrzyć!

Spojrzałem przerażony na Tusia. Ciężko dysząc, przewiązywał sobie na bicepsie naprędcę zdjęty krawat. Materiał jasnego gajera barwiła ruda krew. Leon rozejrzał się po ulicy i skinął ręką na dorożkę. Dryndziarz, widząc broczącego mężczyznę, spytał krótko:

– Panie Wrześnie, do konowała?

– Wal na chawirę – sapnął Tusio. – Złego diabli nie wezmą, wytrzymam.

Bracia mieszkali w niewielkim domku obok muru cmentarza Ewangelickiego. Po wejściu do schludnej, niewielkiej izby Tusio ciężko opadł na krzesło stojące przy stole. Robcik kilkoma ruchami rozciął rękaw marynarki i obejrzał dokładnie ranę.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

